

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

11

Ciąg dalszy.

— Pilno, nie pilno — mówił gospodarz, szykując obrok koniowi — a nie zamęczę bydlęcia dla waszej fantazy.

Niebo przetarło się trochę, gwiazdy tu i owdzie przeblyskiwały, ze wschodu pociągał wiatr, a oczy przywykłe do ciemności, poczęły rozróżniać bliższe i dalsze kontury przedmiotów.

Towarzysze położyli się opodal na murawie i zaczęli się naradzać.

— Czy nie było nam lepiej ruszyć na Małkinię i koleją do Warszawy, aniżeli tłuc się ku Białostokowi? — powiedział z goryczą jeden z towarzyszy.

— Musi wiedzieć Bal, co robi, jego w tem głowa — uspokajał Młot.

— A nasze gardło — mruknął drugi towarzysz.

— Towarzysze, nie wiedział on, że furmanek nie będzie, to raz, no i zważcie, że nas będą czekali na wszystkich stacyach w Warszawie, od tego są depesze i telefony — tłumaczył Marceli — kto wie nawet, czy w tę stronę wyszła w pogoń kozaków, bo spodziewają się, że my gonimy ku Warszawie.

— Niby to racja, ale cały dzień wlec się do Białegostoka, to pachnie strażnikami i rewizją.

— Hej, gdyby dobre konie! — westchnął Młot.

— Pójdę spytać furmana, może co poradzi — wstał jeden z towarzyszy.

Po chwili usłyszeli odpowiedź zaspanego chłopca: — Po dniu możeby się który i znalazł, ale po nocy nijakim sposobem, ani sam znaję, ani nikt nie pojedzie.

— A kiedyż my się dowleczymy waszą chabeta? — zawołał głosem rozdrażnionym.

— Konia mam, nie żydowską chabeta — odpowiedział gniewnie — i nie robicie mi łaski siedzący na wozie, wolna wam droga, idźcie piechoty... ja pojedę, aż się rozwidni.

Dopiero po usilnych namowach zgodził się jechać, ale tylko z dwoma towarzyszami, bo czteru nie uciągnie koń lekko.

Po krótkiej naradzie postanowiono, aby Młot z Marcelkiem jechali wozem, a dwaj towarzysze pójda pieszo.

W tych stronach nie będą już siebie szukali, spotkają się w Warszawie i rozeszli się, rozpytawszy chłopca dokładnie o drogę.

Było już blisko czwartej po północy, gdy Bartek napoiwszy konia ruszył dalej. Lecz mimo pozbicia się ciężaru, wóz włókł się po piaszczystej drodze, już i rozwidniać się zaczęło, a gdzieś w oddali zabłysnął ogień po przez okna chat. Ludzie budzili się do rannej pracy.

— Odprawmy chyba tę furmankę, bo i ślimak nas dogoni — rzekł zniechęcony Młot.

— Dojedźmy chociaż do wsi — doradzał Marceli.

— Po co zwracać uwagę, alboż sami nie trafimy?

— Ano niech będzie na twojem.

Marceli płacił i dodał nietylko rubla za podwiezienie dwóch towarzyszy, ale usilnie prosił chłopca, ażeby w razie pytania wyparł się, że wozik kogokolwiek, bo może pójść pod sąd.

Szli dalej przed siebie i rozglądając się ciekawie w około, szukali zamożnej chaty, w której przypuszczalnie mogły być konie.

Już na wschodzie niebo przybladło i cienie nocy stawały się szarawe, zdawało się, że światło dalekie przesiewa się na ziemię i rozprasza królestwo nocy. Drzewa przydrożne kapwały się w mgłę pół-przeźroczystej; lasy jednak dalsze stały jak skały czarne, tylko poszczególne wierchołki drzew rysowały się ledwie pochwytnymi konturami. Na ugorach i rzyskach panowała niepodzielnie ciemna szarzyzna, a wśród niej błyszczały jak błędne ogniki migotliwe światła czerwone, bijące z okien chat.

Postanowili wejść do obszernego obejścia, lecz zaledwie zbliżyli się o kilkanaście kroków, gdy rozległo się gwałtowne ujadanie psa. Uzbrowszy się w kije doszli do zamkniętej bramy.

Zawzięte szczekanie psa wywabiło z chałupy gospodarza.

— Kto tam?

— Puście gospodarzu, mamy pilny interes do was.

— Ale ja po nocy nie mam do nikogo interesu.

— Toż dzień wstaje jak wół — zawołał Młot wchodząc w obejście i dopadającego psa ściągnął kijem.

— Czego chcecie? — spytał ostro gospodarz, rozglądając się za drgiem, a w rozświetlonych chwilowo sieniach pokazała się druga postać. Marceli postąpił kilka kroków i rzekł, zdejmując czapkę.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Przytrafiło się nam nieszczęście, konie ustały nam w drodze, przyszliśmy do was z prośbą o poratowanie... Zapłacimy dobrze, ale spieszo nam do pociągu na kolej.

— Kiedy przywitaliście się po bożemu, to wam rzetelnie odpowiem. Mam parę koni, ale dziś jadę na szarwark i ani sposób jechać mi na stację.

— A u sąsiadów nie dostaniemy? — mówił Młot, rozglądając się.

— Słuchaj matka — zwrócił się gospodarz do żony — a możeby u Jana?

— Ale!... Toż wczoraj mówiła mi jego, że obłożnie zachorzał, gdzie mu jechać, a z chłopcem nie puści koni.

— To on chory? Dlaczegoż mi nic nie powiedział.

— Dlaczego? — rozkrzyczała się, — a kiedy przywlokłeś się do domu? Czy tak robi gospodarz? Sama musiałam oporządzić konie, uciąć sieczki, zadać im obroku, bo i cóż winno nieme bydłatko, że gospodarz baluje w karczmie z kamratami od kieliszka.

— Cicho, cicho!... nie wstyd ci ludzi?

— Tobie wstyd... Niech wiedzą, jakiś ty gospodarz...

— Moja gospodyni — przerwał Marceli — a gdzieżby dostać koni?

— A czy tu karczma? Czy ja faktorka wasza? O konie się zamawiacie, aby podpatrzyć! Znamy się na takich. Idźcie, pókim dobra — i postąpiła groźnie naprzód.

Pies uważał za stosowne wspomóc swą żywicielkę i z ujadaniem rzucił się na przybyłych.

— Chodźmy — rzekł Młot — co tu gadać z taką wściekłą babą.

— Ja wściekła baba! — wrzasnęła — a ty urwipółciu, szubieniczniku — i posypały się inne wyzwiska, aż wreszcie wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Wstąpili do trzech chat innych, lecz że to był czas orki i siejby, odmówiono im koni.

Już zrobił się jasny dzień, dowiedziawszy się tedy, którą drogą można się dostać do najbliższej stacji, opuścili małą wioskę. Wskazano im drogę boczną, wprowadzie cięższą, ale i krótszą.

Szli szybkim krokiem, gdyż według rozkładu jazdy, który przezorny Marceli wziął ze sobą, zostawało im trzy godziny do odejścia pociągu, a mieli do stacji dwie mile z okładem.

— Ciężko mi, głodnym — mruknął Marceli, ocierając chustką zroszone czoło.

— A myślisz, że mnie lekko — odpowiedział Młot — mam i ja marynarkę, mundur i palto, nie licząc papierów pieniężnych.

— Gdzie schowałeś pieniądze?

— W kieszeniach marynarki, a część za koszulę... pieką mnie.

— I ja tak samo — rzekł Marceli — hej, gdyby tak zrzucić mundur, byłoby nam lżej.

— To i zrzućmy, ale aż w lesie.

Szli dość płytkim wąwozem, którego ściany porośnięte były głogami, dzikimi różami, jeżynami, a pomiędzy niskimi wzgórzami wił się drobny potoczek.

Poza tem wglębieniem drogi, pagórki przechodziły w równinę, a o jaką wiorstę czernił się las sosnowy.

Po wrażeniach przebytych przy zabraniu kasy, po nieprzespanej nocy, po dość długiej pieszej wędrówce w ubraniu zbyt ciężkiem, obaj czuli się osłabieni, apatyczni, a jedynem ich pragnieniem był wypoczynek.

— Gdybym legł, zasnąłbym jak kamień — rzekł Marceli powłócząc nogami.

— Ba, gdyby to można — westchnął Młot — ale powierzono nam partyjne pieniądze, musimy oddać, choćby człowiek miał zdechnąć.

— Ten Bal ma jednak głowę — uśmiechnął

się Marceli — wypłatał on im figla i jakiego jeszcze!

— Gdyby nas stu było, nie dalibyśmy rady bez Bala — powiedział Młot z wielkiem uznaniem.

— To się wie... a z pozoru taki elegancik, wiercipieta, brukotłuk...

— Hm... bywa tak, jeden ma siłę w rękach, a inny w głowie.

— Wolałbym mieć w głowie — dodał Marceli.

— Jak komu Pan Bóg da... I co tam za rejwach w mieście, byle jemu nic złego się nie stało.

— E, da on sobie radę... a za nami pewno wysłano pogoń.

— Pewno... tylko, że będą nas szukali po gościńcach, nie na bocznych.

— Byle raz być w wagonie to już jakby w domu i wyśpię się — ziewnął głośnie Marceli.

Do uszu ich doleciało dalekie rżenie konia. Odwrócili się i o jakie pięćset kroków ujrzeli pędzącego kozaka.

Pierwszym, mimowolnym odruchem było nagłe przyspieszenie kroku, aby się schronić do lasu, leżącego o kilkaset kroków.

Pierwszy Młot zmiarkował, że ucieczka pogorszy ich położenie. schwytał za rękaw Marcela, powstrzymał i szybko rzekł:

— Nie biegnij... ty z prawej, ja z lewej, uderzymy na niego.

— Strzele! — wyciągnął rewolwer Marceli.

— Ani się waż... ściągniemy wszystkich.

W czasie tej narady, co chwila było słychać wrzask kozaka:

— Pastoj!... Pastoj, sukin syn!

Obrócili się, kozak w lewej ręce miał nahajkę a w prawej karabinek, który gotował do strzału.

— Strzeli i zabije — szepnął Marceli.

— Z konia nie trafi.

Już posłyszeli chrapliwy oddech zmęczonego konia, obejrżeli się i stanęli po obu stronach drogi, zostawiając środek wolny.

Na pędzącym koniu siedział kozak, chłop silny, rostry; na szerokiej twarzy, porośniętej rzadkim, rudawym zarostem, błyszczały złowrogo małe oczka, a na szerokich wargach miał uśmiech tryumfu.

Karabinek przerzucił na ramię i smagając konia nahajką wrzeszczał:

— A rozbójniki! Sukin syny Paliaki! Nie ujdiesz!

Zbliżywszy się ku nim w galopie, krzyknął:

— Na kolienka, padleczy!

Marceli ukląkł na jedno kolano, aby każdej chwili być gotowym do skoku; Młot nie zdążył

kleknąć i na niego wpadł z furją kozak, ciał nahajem w głowę, lecz Młot uchylił się i dostał po ramieniu.

W tej chwili skoczył Marceli, chwytając za pas szabli. Kozak odwrócił głowę i z rozmachem podniósł nahaj, lecz zanim zdążył go spuścić, schwytał go Młot za piersi, szarpnął silnie i kozak padł mu pod nogi. Chcąc bronić się rękami, puścił konia, który w szalonym pędzie zwrócił się ku miastu.

Rozpoczęła się walka. Obie strony wiedziały że tu idzie o życie. Kozak uwolniwszy się z uścisku Młota, odskoczył na krok i w rękę zabłysła klinga sztyletu. Gotował się do skoku i dzikiemi oczyma wpatrywał się w Młota, śledzącego najmniejszy ruch jego. Spotkały się ich oczy, nienawiść biła z nich i wściekłość, a kozak widząc przed sobą bezbronnego, zaśmiał się z tryumfem. W tem Młot wyciągnął przed siebie rękę i huknął strzał wprost pomiędzy oczy nachylonego kozaka. Zatoczył się, rękami szukał oparcia i runął bez jęku na ziemię.

Uchodźmy! — zawołał Młot i pędem biegli do lasu.

Wpadli zdyszani i za pierwszym większym krzakiem położyli się na ziemi.

Przez dobrą chwilę leżeli bez ruchu, wreszcie rzekł Marceli.

— Zakazałeś strzelać, a pierwszy strzeliłeś... cóż będzie?

— Nie mogłem inaczej, byłby mnie zranił i nie dojechałbym do Warszawy.

— A teraz dojedziesz? — zaśmiał się drwiąco Marceli.

— Zawsze pozbyliśmy się jednego.

— Lecz gdy go znajda, pójda obławą na nas... Ja mam inny plan — oparł głowę na rękę i mówił z namysłem — pierwsza rzecz pozbyć się munda-